

1 Por. W. BENJAMIN,  
G. SCHOLEM: *Korespondencja*.  
Przeł. A. LIPSZYC. „Litera-  
tura na Świecie” 2003, nr 1-2,  
s. 378.

## 1.

Występująca jako kontekst współczesnej filozofii figura ojca zawiera w sobie – jako kluczowy komponent – pełnię dwuznaczności prawa: zarówno immanentną systemowi („porządkowi prawnemu”), partycularną i w jakiejś mierze przygodną, „funkcjonalną” treść prawa, jak i element fundujący obowiązywanie prawa jako prawa w ogóle, czystą, ogołoconą z treści prawomocność „prawomocności” jako taką (coś na wzór Scholemowskiego, nieznośnego „obowiązywania bez znaczenia”)<sup>1</sup>. Stąd też dosyć stereotypowo pojmowany ojciec jest zarazem zwykłym członkiem rodziny, jednym z elementów składających się na nadrzędną względem wszystkich członków i swoicie uporządkowaną całość, ma być też jednak czymś radykalnie zewnętrznym – nie tyle nawet opiekunem, obrońcą, zarządcą, mecenasem itp., ile więcej: tym, kto „rodzinnosc” jako taką w ogóle ustanawia i wydaje ją na świat, wykraja cudowną mocą w bezsensownym chaosie nie-relacji sztywne ramy, gdzie system rodziny może „być”. Ojciec jest więc, jak to się obecnie ujmuje, suwerenem. I w związku z trwającą od wielu lat głęboką problematyzacją suwerenności oraz kryzysem legitymizacji również ojciec staje się czymś problematycznym, funkcjonuje w permanentnym kryzysie.

Ta kryzysowa kondycja – nie przesądzając, czy miałyby nas satysfakcjonować, czy przerażać – z pewnością pozwala się przyjrzeć rzeczony figurze dokładniej, przeniknąć ją lepiej, niż gdyby ojcostwo pozostawało na poziomie bezproblemowej ideologii. Substancje dotknięte rozkładem, chcąc nie chcąc, ukazują się obserwatorom w całej pełni, uzewnętrzniając się i bez skrępowania obnażając swoje wnętrza. Stąd też najprawdopodobniej tak wielki wysyp książek czy esejów kwestii tej poświęconych, stąd też poniższe, z góry uprzedzmy – przyczynkarskie – analizy.

## 2.

Słynne określenie suwerenności jako decyzji o stanie wyjątkowym samo w sobie zawierało już taki ładunek dwuznaczności – dodajmy od razu: dialektycznej dwuznaczności – że musiało się stać problematyczne. Suweren (władca, ojciec, Bóg Ojciec etc.) decyduje o stanie wyjątkowym, będąc zarazem wewnątrz systemu prawnego

jako nośnik treści prawa i na zewnątrz jako fundator ogólnej formy prawnej. Suweren sam jest więc tym wyjątkowym momentem, realizuje się bowiem tylko we własnej, fundującej porządek prawny decyzji, która to decyzja ma charakter wyjątku (prawa poza prawem, prawomocności przed prawomocnością).

Jeśli więc Carl Schmitt wciąż usiłował wyznaczyć jakąś granicę pomiędzy stanem normalnym a wyjątkowym, to było to zadanie beznadziejne, co sugerował Walter Benjamin, a wypuklił Giorgio Agamben. Stan wyjątkowy – jeśli dopuszczamy takie jego rozumienie, jakie proponował Schmitt – nie tyle nawet jest, ile ze swej istoty musi być („martwą”) regułą. Aby to dostrzec, nie trzeba archiwistycznej pracy czy prezentacji empirycznych dowodów z historii najnowszej. U samego Schmitta czytamy: „Władza suwerenna to właśnie władza decydowania o tym, czy panująca sytuacja jest rzeczywiście normalna. Każde prawo ma charakter sytuacyjny. Suweren tworzy sytuację jako całość i zapewnia jej trwałość charakter”<sup>2</sup>. Wynika to z definicji suwerenności: nie chodzi nawet o to, że suweren decyduje (od czasu do czasu) o wprowadzeniu stanu wyjątkowego – każdy bowiem moment trwania „normalnego” porządku prawnego jest zależny od ciągłej, nieustannej zgody suwerena. Ciągłość ta realizuje się w tym, że przejście od stanu normalnego do stanu wyjątkowego samo jest właśnie przejściem – wymaga wyjścia poza porządek i zewnętrznego ufundowania owego porządku w bezdennym akcie decyzji. Porządek prawny w swym istnieniu jest więc nieskończenie skokowy i dyskretny, bo nieustannie nawiedzać go musi i potwierdzać pewna wewnętrzno-zewnętrzna instancja. Każdy dzień bez „jawnego” stanu wyjątkowego jest nieskończoną wielością chwilowych stanów wyjątkowych, w ramach których (każdego z nich z osobna) dano porządkowi prawnemu przeżyć kolejny moment, co z kolei składa się na kolejne kilkanaście godzin, dni, lat. I tylko dlatego, że tak – ciągle swą decyzję, choćby „wirtualnie”, ponawiając i potwierdzając – postanowił suweren. Normalność, tak jak wyjątek, jest kwestią decyzji („Każdą formę porządku rodzi decyzja”<sup>3</sup>), a więc norma jest czymś, co źródłowo wyjątkowe (oparte na paradoksie suwerennego fundowania).

Jednocześnie taki permanentny stan wyjątkowy (w rozumieniu schmittowskim) – w którym w jednym suwerennym punkcie zbiegają się normalność i wyjątkowość, trwanie i zawieszenie trwania – to finalnie triumf absolutnie arbitralnej i zniewalającej władzy, która nie zna względem siebie niczego innego. Jest to władza dziejowego zwycięzcy, bezgraniczna, bezzasadna, nieuchwytna, zawsze władna odmówić prawa do istnienia każdej innej, sprawowanej choćby w mikroskali władzy spoza suwerennego, dążącego do wyłączności źródła.

2 C. SCHMITT: *Teologia polityczna*. W: IDEM: *Teologia polityczna i inne pisma*. Przeł. M.A. CICHOCKI. Warszawa 2012, s. 52.

3 Ibidem, s. 49.

Jeśli poruszamy się w takim „teologicznym” paradygmacie myślowym, zgadzającym się na istnienie owego punktu suwerenności – podwojenia (wewnątrz – zewnątrz), które ma formę jednolitej substancji (atomistyczny, homogeniczny, niezmienny Ojciec) – to nie sposób odmówić racji tego typu rozumowaniu czy wnioskowi. Na tym polega główny problem projektu wspomnianego Agambena, który wydaje się w jakiś sposób urzeczony koherencją myślenia suwerenności (tak jak Marks urzeczony był burżuazją, a Heidegger – metafizyką): jak oddać sprawiedliwość tej logice kreującej figurę ojcowską, zostawić ją samej sobie i jednocześnie, nie poddając się jej decyzyonistycznemu fatalizmowi, wyminąć ją i nakreślić alternatywę? Jak zadowolić absolutnego ojca, aby w swym samozadowoleniu szczeł, i jednocześnie uniknąć jego wszechobecnej przemocy, stawiając na „innego” ojca, ojca nie do końca suwerennego?

Wydaje się, że w realizacji tego zadania Agamben sięgał po kilka różnych strategii.

### 3.

Już choćby w *Language and Death* mamy do czynienia z próbą pomyślenia czegoś nie tyle wbrew logice ojca, ile wbrew wszystkim zbyt prostym negacjom tej logiki. Otóż Agamben, wierny Heideggerowskiemu *dictum*, szuka wyjścia z nawiedzającego nowożytność nihilizmu; definiuje go zaś w następujący sposób: „w metafizyce wszelkie ustanawianie jest zawsze związane z podstawą w tym sensie, że ustanawiając cokolwiek, schodzi ona ku podstawie – tam, gdzie sam byt może się stać. I o ile byt może stać w tylko tam, gdzie go nie ma (to znaczy w nicości), o tyle sam byt jest bezpodstawny. Jedyne poprzez przemierzanie całości naszych rozważań będzie można stwierdzić, że udało nam się w ten sposób przeformułować nihilizm i jego brak ugruntowania (czy też jego negatywizm podstawy)”<sup>4</sup>.

Jasne więc jest, że nihilizm to pierwotna forma, w której Agamben myśli dwuznaczność prawa (Ojca). Bo nihilizm trapi ten sam podwójny, paradoksalny i niwelujący wszelką faktyczną alternatywę stan – bycie wewnątrz i na zewnątrz **u podstawy**. Tak samo jak suweren, metafizycznie określone fundowanie trafia na paradoks wykluczenia – fundować cokolwiek może tylko o tyle, o ile zakłada kluczową i fundowaniem kierującą instancję, będącą negacją wszelkiego fundamentu (*Abgrund*, „Głos”). Spięta przez prawo figura ojca jest więc tożsama z określeniem nihilizmu – jest zakładaniem negatywnej pozytywności, to znaczy myślenia finalnej, podstawowej pozytywności (tego, co jest – bytu, prawa) jako czegoś negatywnego (nicości, zawieszenia wszelkiego prawa).

W rzeczonyj książce problem ten – analizowany na gruncie pism Hegla jako kwestia związana z „Głosem” (kwestia podwójnej nega-

4 G. AGAMBEN: *Language and Death. The Place of Negativity*. Trans. K.E. PINKUS, M. HARDT. Minneapolis 2006, s. XIII.

5 Por. ibidem, s. 84.

6 Ibidem, s. 91.

tywności – negacji określonej, kreującej wszelką treść, i negacji nieokreślonej, będącej mistyczną podstawą określania w ogóle)<sup>5</sup> – znajduje rozwiązanie w rozważaniach dotyczących niemowlęstwa. Jak czytamy – „Jedynie likwidacja mistyczności może otworzyć pole dla myśli (bądź języka), która myśli (który mówi) ponad Głosem i jego **sygetyką**: zamieszkuje ona [on] nie tyle niewymowną podstawę, ile niemowlęstwo człowiecze”<sup>6</sup>. Pomijając problematyczny fakt, że trudno we współczesnej filozofii znaleźć filozofa bardziej niechętnego wszelkiemu mistycyzmowi niż Hegel, to ostatecznie kwestia rozumienia owego niemowlęstwa (niemowlęstwa jako stanu bez ojcostwa bądź z ojcem-niemowlęciem, tak czy inaczej – bez mowy opartej na bezpodstawnym/fundującym Głosie) pozostaje – a widać w tym premedytację autora – niekonkluzywna (poetycka). Jest to raczej wezwanie do przemyślenia problemu negatywnej podstawy niż jego rozwiązanie.

Wydaje się, że to dopiero późniejsze prace autora, szczególnie *Czas, który zostaje*, mówią coś więcej na temat tego innego myślenia o fundowaniu, prawie i podwójności. Strategia, którą przyjmuje tam Agamben, dotyczy pewnej wieloznaczności związanej z relacją stanu wyjątkowego – epifanii Ojcostwa – i mesjanizmu.

#### 4.

Jak wiadomo, w klasyczno-współczesnym tekście mesjańskim Walter Benjamin odróżniał dwa stany wyjątkowe – schmittowski stan wyjątkowy, związany z politycznie rozumianym suwerenem, i rzeczywisty stan wyjątkowy, prowadzący efemerycznymi opłotkami ku idei mesjańskiej<sup>7</sup>. Do wątku tego powraca Agamben, samo bowiem podwojenie rozumienia podwojenia (dwojake rozumienie paradoksu suwerenności, punktowej podwójności) otwiera właśnie pewien ciekawy horyzont i stanowi owo apellejskie cięcie, które angażując się w zastaną logikę – w tym przypadku logikę suwerennego wyjątku – jednocześnie ją spulchnia, rozpęka od środka i ostatecznie się z nią radykalnie, choć subtelnie, o włos rozmija.

Prześledźmy tok tego rozumowania. Agamben, analizując słynny incipit, który ma dostarczyć klucz do zrozumienia całej doktryny świętego Pawła („Paweł, sługa Jezusa mesjasza, powołany apostołem, oddzielony do [głoszenia] ewangelii Bożej”), w pewnym momencie dochodzi do kwestii owej „ewangelii”. Ewangelia jest nowiną, którą Agamben interpretuje jako pewną potencjalność języka, domagającą się aktualizacji w wierze – „Wiara jest byciem w akcie – *energeia* – nowiny”<sup>8</sup>. Związek ewangelii i wiary jest więc związkiem *dynamis* i *energeia* i tworzy pewną całość (w której już drzemie coś na kształt „suwerennej podwójności”). Kluczowe tutaj jest jednak przeciwstawienie tej głoszonej przez Pawła/Agambena dwójni innemu terminowi – *nomos*, prawu: „Zarówno w *Liście do Rzymian*, jak i w *Liście*

7 W. BENJAMIN: *O pojęciu historii*. Przeł. A. LIPSZYC. W: W. BENJAMIN: *Konstelacje. Wybór tekstów*. Kraków 2012.

8 G. AGAMBEN: *Czas, który zostaje. Komentarz do „Listu do Rzymian”*. Przeł. S. KRÓLAK. Warszawa 2009, s. 109.

9 Ibidem, s. 112.

do Galatów Paweł po jednej stronie stawia *epaggelia* wraz z *pistis*, po drugiej zaś *nomos*<sup>9</sup>. Ale to przeciwstawienie nie może przybrać prostej formy wykluczania czy negacji, bo w ten sposób prawo triumfowałoby dzięki swemu władaniu nad tego typu logiką. Jak więc Agamben skwapliwie dodaje – „W Pawłowej antytezie chodzi zatem o przeciwstawienie *epaggelia* i *pistis* nie tyle Torze w całości, ile jej aspektowi normatywnemu”<sup>10</sup>.

10 Ibidem, s. 114.

W ten sposób, przez podwójność wiary i nowiny oraz odniesienie ich do prawa, dochodzimy do podwójności samego prawa. Ta podwójność jest pierwotna względem podwójności suwerennego wykluczania i dopiero je umożliwia, pozostawiając jednak pewien naddatek, nieobjęty przez logikę ojca/suwerena. Tym czymś zdwojonym i nie-suwerennym jest ów nienormatywny charakter prawa. Samo prawo rozszczepia się na prawo suwerena, podwójne prawo, które w swej bezgruntownej, homogenicznej autonomii włącza i wyłącza, zarządzając całością/wnętrzem/zewnętrzem, oraz prawo nienormatywne, inne prawo, prawo mesjańskie. Z tym że rzeczony rozszczepienie nie ma charakteru antytetycznego – jest raczej zarządzane przez nienormatywną logikę innego prawa, co więcej, samo to inne prawo wyczerpuje się w pełni w stosunku czy też relacji tych dwóch praw albo – w stosunku prawa do samego siebie, w którym prawo się z sobą nie pokrywa, ale nie na zasadzie wyjątku, tylko na jeszcze jakiejś innej zasadzie.

11 Por. ibidem, s. 118.

Agamben to nowe rozproszenie prawa stara się opisać, odwołując się do kluczowego pojęcia *katargein*, „niedziałania”. Prawo nienormatywne to prawo w stanie unieczynnienia, prawo w pewnym sensie zawieszone, aczkolwiek w tym zawieszeniu nie zniszczone, ale wprost przeciwnie – wypełnione<sup>11</sup>. I tak jak mamy dwa rodzaje prawa, tak też – przywołując ponownie Benjaminowską intuicję – mamy dwa stany wyjątkowe: stan wyjątkowy, w którym triumfuje prawo suwerena, oraz inny, prawdziwy stan wyjątkowy, w którym „triumfuje” prawo pozbawione mocy<sup>12</sup>.

12 Por. też np. E. GEULEN: *Giorgio Agamben. Wprowadzenie*. Przeł. M. RATAJCZAK. Warszawa 2012, s. 85–86.

Łatwo tutaj o nieporozumienia, gdyż ten dosyć skomplikowany galimatias podwojenia podwojenia, który nie skutkuje jakąś prostą czwórną czy trójnią, ale zmienia w ogóle funkcjonowanie prawa, z istoty swojej ma tendencję do rozwiązywania się w koleinach owej logiki, którą chce się przewyciężyć (logiki „numerycznej”). Aby nie pobłądzić na tych ścieżkach, warto sięgnąć po trywialną analogię.

Gra sportowa to dosyć dziwna działalność ludzka, w której jednak wyraźnie zarysowane są istotne dla tych rozważań figury – ojca i prawa. Wedle oficjalnych zasad gry w piłkę nożną, „Decyzje podejmowane przez sędziego dotyczące oceny faktów związanych z grą, włącznie z uznaniem lub nieuznaniem bramki oraz rezultatem zawodów – są ostateczne. Sędzia może zmienić swoją decyzję jedynie wtedy, gdy sam uzna ją za niewłaściwą, względnie na

13 Przepis główny 2013/2014 aktualnych Przepisów gry w piłkę nożną. <http://www.pzpn.pl/federacja/sedziowie/aktualnosc/2014-02-12/aktualne-przepisy-gry-w-pilke-nozna-juz-do-pobrania>.

sugestię sędziego asystenta albo sędziego technicznego, zakładając, że gra nie została jeszcze wznowiona lub zawody nie zostały zakończone”<sup>13</sup>. Sędzia jest więc samotnym suwerenem, który z jednej strony egzekwuje przepisy, a z drugiej strony decyduje, czy w danej sytuacji przepisy – choćby przepis o zdobywaniu gola – w ogóle się stosują (może na przykład uznać, że bramki nie było). Fakty – poświadczane przez obserwatorów, uwiecznione w zapisach kamer telewizyjnych – nie mają znaczenia. Faktem jest to, co orzeknie sędzia. Tak więc rozgrywka – choćby w piłkę nożną – to trwający zazwyczaj dziewięćdziesiąt minut stan wyjątkowy. Jak na tym prostym tle można „źle” zrozumieć kwestię zniesienia prawa przez jego wypełnienie?

Pierwsza intuicja może być prosta – otóż prawo unieruchamia się i redukuje w całości do swej nieskończonej potencjalności, do „punktu zero”. Ale prawo prawem pozostaje – każdy przepis, zależny od decyzji sędziego, może się w każdej chwili zaktualizować, nie naruszając samej wirtualnej **pleromy** prawa (bo ta, jako nieskończona, nie dozna uszczerbku jakąś marginalną i szczątkową konkretyzacją). W ten sposób gra zostaje unieruchomiona – ewentualne działania od razu skazane są na możliwość nieuznania ich „legalności”, która to możliwość wisi nad zawodnikami. Kiedy zawodnik biegnie – sędzia może użyć gwizdka i odgwizdać choćby spalonego, faul, rzut sędziowski. Takie zawieszone prawo jest – jako pełnia możliwości – najbardziej dojmującym i petryfikującym stanem wyjątkowym. Prawo nie działa – ale dlatego może w każdej chwili zdziałać cokolwiek. Zawodnicy boją się nawet uczynić jeden krok czy wyjść na murawę – wszystko świadczy przeciwko nim, ponieważ w ogóle są, a więc ingerują w materię prawną, która w całości zależy od sędziego.

Nie taka jest oczywiście perspektywa Agambenowska i nie o taką negację prawa chodzi. To raczej do skrajności doprowadzona wizja Schmittowska właśnie, przykład owego niewłaściwego „stanu wyjątkowego”, przeciwko któremu Agamben toczy swoje rozważania. Już bliższa wydaje się mu sytuacja antytetyczna. Prawo w pełni zrealizowane i zaktualizowane, w pełni objawione. Każdy przepis został już zawczasu uwzględniony i zastosowany, każde przewinienie – odgwizdane, każda bramka – uznana i nieuznana, każdy gest – zaakceptowany i odwołany, wszystkie faule popełnione – już ukarane, a przywileje korzyści – uwzględnione. Prawo wyczerpało swe możliwości: gra skończyła się każdym możliwym wynikiem, nim się na dobre zaczęła, każdy zawodnik zdobył gola, był na spalonym, zagrał ręką i uczynił wszystko to, co przepisy mogą opisać, zanim to uczynił. Nie ma możliwości sprawić niczego nowego, ale i prawo niczego już zdziałać nie może, gdyż sprawiło już wszystko, na co było je stać. Pozostaje jedynie

bierna kontemplacja – w sportowej niedzieli życia – tej całości, która się mimochodem dokonała.

Jakkolwiek wydaje się, że można i u Agambena wyczytać pochwałę takiego rozumienia wypełnienia się suwerennego prawa i „wyminięcia” jego logiki – pochwałę, którą wprost głoszą filozofowie w rodzaju Kojève’a – to warto chyba te dwa dosyć proste przykłady potraktować jako pewne upraszczające i jedynie żartobliwe możliwości, pozostające jednak wciąż w obrębie logiki wyjątku.

## 5.

Zdaje się bowiem, że Agambenowi chodzi o coś innego (a przynajmniej ciekawiej by było, gdyby o coś innego mu chodziło). Nie o ojca, który za wszystko może ukarać i wciąż czeka, przyglądając się złowieszczą biegowi wydarzeń, w każdej chwili gotów zaburzyć i zniszczyć jego porządek, nie o ojca, który już za wszystko ukarał i wynagrodził, teraz zaś spoczął w błogim spokoju i biernie, w unieczynnieniu, obserwuje swe dzieło, ale o innego ojca – ojca, który się jakoś jednak dzieje. O prawo, które swoją dwójnię nie tyle niweluje w prostocie zawieszenia/wypełnienia, bo tym samym dwójnię ową by afirmowało, ile raczej ją – wreszcie – **dynamizuje** i w tej prawdziwej, dynamicznej dwójni rozbraja jej suwerenną i nieuchwytną moc.

Jednym z najbardziej znanych wątków *Czasu, który zostaje* jest wątek ujęty już w tytule książki – wątek czasu mesjańskiego. Jest to czas, krótko mówiąc, który czas linearny potrzebuje na to, aby się ująć, dokończyć i spełnić. Czas spełniony – czas apokaliptyczny – to czas, który zawsze rozumie się w kategoriach suwerennej, negatywnej podstawy; to czas nihilizmu. Ale aby taki czas mógł się dokonać, potrzebny jest czas inny, międzyczas, którego krańców nie da się wyabstrahować, przez co nie kreuje się w jego obrębie żadna abstrakcyjna antynomia transcendencji i immanencji, a jedynie – pewna rozedrgana wzajemność. Analogicznie rzecz się ma z prawem i ojcem. Ojciec mesjański, prawo w stanie mesjańskiej *katargein*, to nie prawo w pełni potencji czy aktualności, nie prawo, które skupia swą moc w pojedynczym punkcie spełnienia czy kontrakcji – takie bowiem ujęcie nie eliminuje paradoksu negatywności podstawy, ale właśnie zagęszcza podstawę do stanu anomalii, czyniąc z niej paradoks suwerenności. Ów „mesjański ojciec” jest czym innym – ojcem bez absolutnego autorytetu, prawem bez transcendentnej autoryzacji, ojcem *hōs mē*.

Prawdziwy stan wyjątkowy jest nawet nie tyle zewnętrznym wyjątkiem od wyjątku, ile pewnym materialnym naddatkiem w obrębie logiki wyjątkowości, momentem rozciągnięcia spójnej transcendencji podstawy do postaci pewnego skończonego, choć bezgranicznego procesu dziania się, które musi się czynić, aby w ogóle można

było snuć ideologiczne mrzonki o wsobnej transcendencji podstawy, o suwerenie, o końcu świata, o końcu w ogóle. Mesjański czas **wchodzi** w pozaczasowy, zbiorczy i finalny punkt, potrzebny czasowi apokaliptycznemu, aby ten mógł projektować własny koniec – wchodzi w ten punkt i uczasawia go na swój specyficzny sposób, rozpunktawia go. Ta sama strategia da się zastosować do ojca-suwerena: im głębiej wnika się w jego zamkniętą w sobie dwójnię, tym bardziej się ona rozrasta do pewnej wymierności, w której da się już nie tyle zauważyć „cudowną”, janusową niewywrotność, ile wręcz opisać trajektorię uczasowionego, to znaczy skończonego przechodzenia i rozpraszającej się, poszarpanej dynamiki owej rzekomej za-jednym-razem danej podwójności. Skrywany w suwerenności nadmiar względem pełni, do tej pory jedynie-paradoksalny, staje się jawny, destytuując wszelki wyabsolutniony podmiot absolutny.

Mesjański „ojciec” nie jest zewnątrzno-wewnątrznym, statycznym elementem, skupiającym w sobie podwójność negatywnej podstawy; jest raczej dynamicznym efektem poszarpanych relacji rodzinnych, aspektem rodzinnej wzajemności, w której nie ma żadnej prostej punktowości. Pozostawiając na boku Agambena i jego niechęć do staroświeckiej dialektyki – co niekiedy blokuje mu możliwość rzetelnego ujęcia owej „mesjańskiej” (po prostu spekulatywnej) dynamiki – warto się przyjrzeć pewnej myśli Wernera Hamachera, który podejmuje ten sam wątek w momencie, w którym Agamben waha się wysunąć ostateczne, „spekulatywne” wnioski ze swej koncepcji „mesjanizmu”.

Kim zatem miałyby być ów inaczej teraz rozumiany ojciec, ojciec jako nie-suweren, ojciec zniesiony w sensie *katargein*, unieczynniony, pozostający resztkowym, ale jednak ojcem? Odpowiedź Hamachera jest przewidywalnie zaskakująca – w pierwszym kroku miałyby być swoją negacją, czyli synem. Wszelka prosta negacja jest jednak, jako abstrakcyjny moment dialektyki, kondensującą funkcją suwerennego ojca. A więc aby nowy ojciec rzeczywiście porzucił skórę ojca suwerennego, musi uwzględnić w kreowaniu własnej funkcji czy nie/tożsamości to, co stanowi sam niemożliwy do redukcji do tożsamościowego punktu proces przechodzenia od ojca do syna, dokonać cięcia apellejskiego w samej punktowej różnicy dwóch homogenicznych względem siebie skrajności (ojciec – syn), poszerzyć ją, oddalić jej krańce za nieskończony horyzont, niwelując je, unieczynnając – i zrobić miejsce dla matki.

## 6.

*Pleroma*, książka Hamachera poświęcona krytyce Hegla w duchu Adorna i Derridy<sup>14</sup>, stara się ukazać pewne głębokie i wyparte przez Hegla pęknięcie w obrębie samej dialektyki, która nigdy nie jest w stanie w pełni się domknąć w czystej, niezakłóconej i właśnie

14 Por. W. HAMACHER: *Pleroma. Reading in Hegel*. Trans. N. WALKER, S. JARVIS. Stanford 1998, s. 257.



pleromatycznej wymianie pomiędzy skrajnie zróżnicowanymi elementami, które składają się na sam ruch spekulacji. Pomijając bardzo wątpliwą tezę Hamachera o tym, że to heterogeniczne nie-domknięcie jest Heglowi zupełnie obce, warto się przyjrzeć wypracowywanej przez niego, **rzekomo** alternatywnej wobec klasycznej spekulacji, wizji dialektyczności. Po pierwsze, to właśnie ona, ta nowa dialektyka, mimo wszystko wyraża głębokie intuicje samego Hegla, po drugie, prezentowana na przykładzie funkcjonowania figury ojca w pismach młodego Hegla – pozwala lepiej zrozumieć, na czym polegać by mogło ojcostwo w świetle **nieco** innej dialektyki niż dialektyka punktowej bezpośredniości suwerena.

15 Por. J. DERRIDA: *Glas*.  
Trans. J.P. LEAVEY JR.,  
R. RAND. Lincoln 1986.

Podobnie jak Derrida w *Glas*<sup>15</sup>, Hamacher rozpoczyna od analizy świętej rodziny – modelu samej dialektyki, jak i spekulatywnej filozofii społecznej. Przywołując dwa skrajne momenty owej rodziny Ojca i Syna, zauważa, że w procesie dialektycznym „Syn jest synem tylko o tyle, o ile jest w tym samym momencie własnym ojcem, a ojciec jest ojcem tak długo, jak długo jest swym własnym synem. I skoro ontologiczny spójnik »jest« okazuje się tutaj łącznikiem genealogicznym, można precyzyjnie to wyrazić w ten sposób, że syn płodzi siebie jako ojca, który z kolei płodzi samego siebie jako syna”<sup>16</sup>. I dalej dodaje – „Język Hegla byłby więc czystym, bezresztkowym i pozbawionym nadwyżek przejściem pomiędzy synem i ojcem [...]”<sup>17</sup>. Jak już rzekliśmy, nie interesuje nas teraz, czy rzeczywiście taki jest język Hegla, ważne jest co innego. Jeśli możliwość pomyślenia czegoś wbrew ojcu wiąże się z czystą i pustą jego negacją – z ziemskim, odpadniętym od niego synem – to syn ów, w swej abstrakcji, zlewa się w jedno z ojcem i wraz z nim, w czystej podwójności pozaczasowego przejścia między tymi skrajnymi momentami, tworzy mistyczno-dialektyczny punkt nieodróżnialności. Takie rzekome wyjście poza Ojca skutkuje oczywiście różnorakimi formami afirmacji stanu wyjątkowego – Ojcosyn to suweren w czystej postaci. Jednak kluczowym momentem, na który Hamacher zwraca uwagę, jest czystość owego przejścia – samo przejście, petryfikowane do postaci „jest”, podwójnego „jest” (jest Ojcem, jest Synem) nigdzie nie idzie i nigdzie nie dochodzi, ma po prostu „być” w swej przemożnej niewymowności i tym, i tym, nawet poza nimi, bez materialnej gęstości samego procesu, bez skończonej czasowości, która zawsze skazana jest na jakieś, choćby minimalne, zakłócenia, niemożliwe do wyregulowania przez ostatecznie prymitywną, obłą formułę negatywnej pozytywności. I to w to miejsce Hamacher – wbrew Heglowi, choć jak najbardziej z nim w zgodzie – chce wsadzić kij. Pokazać, że ten niby-proces rzeczywiście da się jako proces zrozumieć, a owo „jest” to czysta kontaminacja.

Otóż suwerenność Ojcosyna dąży do **pleromy**, do wypełnienia każdej szczeliny możliwości własną dwójprostotą. Wszystko, co

16 W. HAMACHER: *Pleroma...*,  
s. 127.

17 Ibidem.

jest, ma być zależne od mechanizmu przywoływania i odwoływania na mocy absolutnej arbitralności, pozaczasowego przejścia od pozytywności do negatywności. Wszystko ma być podległe suwerenowi, przede wszystkim zaś to, co jest jego prostą negacją – czyli syn, czyli ojciec. Problem polega jednak na tym, że „Byt nie może się spełnić sam w sobie; spełnia go jedynie prezentacja jego samego, wystawienie, które zawiesza prezentowaną pełnię w samym akcie jej podtrzymywania”<sup>18</sup>. Samoodniesienie ojca do siebie, prezentowane w synu, jakkolwiek spełnia ojca w ojcu, pozostaje jednak w ramach samej prezentacji – jej pustej formy, pewnego naddatku samego pokazywania – czymś niezawartym, „niereprezentowanym” w ojcu. Ojciec-jest-synem, ale nie jest samym owym „byciem” synem, które jest momentem stawania się ojca ojcem dzięki synowi (prezentacja bowiem w pełni pokrywa się z procesem stawania się tego, co się prezentuje). Innymi słowy – w doskonałej formule suwerenności „ojciec jest synem” („wewnątrz jest zewnątrz”, „prawo jest poza prawem”) istnieje coś, co nie jest ani ojcem, ani synem, coś nawet doskonalszego niż ich dwójjednia, ale doskonalszego innym rodzajem doskonałości. Jest to doskonałość skończoności, sama, na pierwszy rzut oka jedynie formalna, naddatkowość owego „jest”. To właśnie ten uzupełniający naddatek, dynamiczne wtargnięcie czegoś dynamicznego, czegoś spoza obłej jedności, jest jądrem rzekomej tożsamości, ale finalnie skończonej różnicy nie tyle między „ojcem” a „synem”, ile między „ojcem-i-synem” a „...-i-...”.

Suwerenność nie jest w stanie sprostać wymogom własnej, ontologicznej transparentności i nieodróżnialności, które sama sobie narzuciła. Tak więc dwójnia Ojcosyna potwierdza swe przełamanie, tyle że nie w abstrakcyjnej, punktowej różnicy, która jest właśnie suwerenną supertożsamością, ile w „jest” prezentacji, która stanowi konieczny element owej dwójni. A jako **ukazywanie**, jako materialno-formalny jedynie-suplement **procesualnego** wystawiania się ojca na syna i syna na ojca – jest względem nich, ich abstrakcyjności, czymś innym, dopiero teraz będąc w pełni ich wzajemnym działaniem się, dynamicznym, nie-punktowym zapośredniczeniem; jest nowym, mesjańskim „ojcem” – niesuwerennym ruchem między ojcem a ojcem, synem a synem, ojcem a synem, synem a ojcem, niewyczerpywalnym w tych nierealnych krańcach.

Innymi słowy, jakkolwiek ojciec może zapanować nad synem dzięki sile abstrakcyjnej negacji (suwerennej, abstrakcyjnej, wyjątkowej, paradoksalnej tożsamości), to nie jest w stanie zapanować nad samą tą negacją, która rozsiewa przy każdym swym użyciu (przy każdej prezentacji takiego paradoksalnego ojca) niemożliwe do wyrugowania ziarenka poróżnienia, które z kolei ją samą, jej rzekomą czystość, destytuują w procesie samego używania – zużywania i urzeczywistniania. Suweren, chcący podtrzymać

porządkujące wrażenie „bycia-spoza-porządku”, jednocześnie owe „bycie-spoza” musi redukować do momentu owego porządku, ale nie na zasadzie martwego, punktowego paradoksu, tylko pewnej konkretnej działalności – sama ta działalność jest już tą redukcją do tego, co uwarunkowane, skończone, odniesione do innych konkretności. Nie ma innego suwerena niż ten, który podejmuje decyzje, suweren jest tylko w swej decyzji, ale nie ma innej decyzji niż taka, która się wyczerpuje we własnej konkretyzacji – konkretyzacja zaś jest kontaminującym procesem zapośredniczenia, a nie paradoksalnym punktem. Taka kontaminacja jest pierwotna – ale pierwotności już właśnie tutaj nie ma, jest tylko pełen napięcia proces, wypływający z siebie od czasu do czasu niebezpieczne fantazje o *stasis*.

Wracając do zarysowanej, nieco „efekciarskiej” metafory – taki procesualny, uziemiony „suweren” przypomina sędziego, spocznego, zawstydzonego, z pewnością przestraszonego, przeciskającego się korytarzem między rozwścieczonymi kibicami po to, aby stanąć przed równie wściekłym dziennikarzem i z pokorą tłumaczyć się z „punktowo-suwerennego” **paradoksu nieuznania prawidłowo zdobytej bramki** (nie-bycia tego, co jest).

Zmieniając znowu rejestr – oddajmy głos Hamacherowi, który podsumowuje to w duchu dekonstrukcji znanej z *Glas*: „Zamknięty system spekulatywnej ontologii jest możliwy tylko dlatego, że opiera się na otwartym systemie dialektycznie prokurowanej różnicy, która za każdym razem odwołuje warunki możliwości wszelkich ontologicznych fiksacji przez się produkowanych”<sup>19</sup>.

Ojciec jest synem, ale nie jest owym „jest”, koniecznym do prawdziwego bycia synem (jasnym jest chyba, że owo „jest” ma charakter mesjańskiego czasu operacyjnego z rozważań Agambena). Na tym prostym dialektycznym mechanizmie zapośredniczenia wykołaja się logika suwerenności. Suwerenność, jako czystej wody ideologia, **nie jest** – jest co najwyżej rzeczywiste dzianie się, rozłożone w czasie i osadzające się w dziejach, wzajemnej przemocy przetrąconych u zarania podmiotów, pośród których znajdują się i takie, co oczywiście, które swoją agresję i resentyment pokrywać chcą fetyszyzującą iluzją suwerennego panowania.

Ojciec, aby przeżyć w jakiegokolwiek sprawczej postaci, nie zatracając się w pustych fantazmatach pleromicznej władzy, musi się pogodzić ze swoją różnicą, zawartą w rozciągniętym „jest”, puścić siebie samego wolno, dać się pochwyć przez sprawiane przez samego siebie – przez swój pęd do absolutnej, punktowej dwójtożsamości – materialne nadmiary prezentacji, które zawsze ostatecznie przybierają jakieś konkretne, dziejowe formy, jakoś się w codzienności uczasawiają – bo są wykluczone z nierealnej niecodzienności tego, co suwerenne. Musi się pogodzić z tym, że w swej stereotypowej funkcji był jedynie odpryskiem, zsubstancjalizowanym epife-

19 Ibidem, s. 141.

nomenem, ideologiczną petryfikacją owych rozedrganych nadmiarów, które względem klasycznie rozumianego suwerennego ojca są „pierwotniejsze”, ponieważ rzeczywiście sprawczo istnieją, a nie, jak on, dopiero do egzystencji się zbierają.

20 Ibidem, s. 175.

Z czym jednak musi się naprawdę pogodzić? „Jedność martwego ciała i życia, Ojca i Syna – warunek domknięcia rodzinnego kręgu – uniemożliwia interwencja logicznie niezdeterminowanego momentu tego, co materialne”<sup>20</sup>. Neutralny rzekomo łącznik „jest” okazuje się czasowo-materialnym – a więc prawdziwie różnicującym i niezdeterminowanym – elementem różnicy. Różnicy, która się **dzieje**, ponieważ uskutecznia się jedynie jako **powtarzana** porażka samoprzejrzystości tego, co suwerenne – jest więc różnica procesem tej porażki.

Ta prosta konstatacja prowadzi do finalnej puenty rozważań Hamachera – jeśli ojciec chce pozostać ojcem, jednocześnie będąc synem, musi poddać się czemuś, co wyklucza jego ojcostwo i zawieszają absolutyzm jego władzy – poddać się tej resztki, której jego homogeniczna relacja z synem nie może strawić, choć ją jakoś umożliwia (będąc sama przez nią umożliwiona). To szalone dialektyczne piętrzenie relacyjności i wzajemności, wydane na pastwę przygodności, Hamacher podporządkowuje różnicującej zasadzie matki: „Materialna pozostałość nie wkracza siłą w proces dziejowy; reguluje również jego wsobny pęd do przodu, a co za tym idzie – reguluje dążenia samej filozofii. Ruch dziejów i filozofii poddaje się zasadzie tego, co materialne, co na zawsze niemożliwe do wyeliminowania bez reszty, choć nieustannie odraczalne – zasadzie matki”<sup>21</sup>.

21 Ibidem, s. 183.

„Mesjański” ojciec, ojciec żyjący w zbawionej codzienności, to ojciec-porażka, produkt rozkładu ideologii suwerennego prawa – rozpięty na wskroś w relacjach rodzinnych, zatracający się w nich, w ich kanciastej, aczkolwiek nigdy nie absolutnej, konkretności i kohezyjnej pełni. Nie ma go więcej niż matki, córki, syna – bo jest nimi zupełnie, choć każde z nich dalekie jest od jakiegokolwiek zupełności. Snuje się więc jak duch własnej wielkości, nie mając żadnej mocy, która zasługiwałaby na to miano, dysponując jedynie tym, czym dysponują inne zamazane zjawy, towarzyszące mu w tej wesołej i krzepiącej beznadziei – miłością, prawdziwym stanem wyjątkowym.

Maciej A. Sosnowski

### The Father's Defeat

**Summary:** The father is a dialectical figure. Taking C. Schmitt's "state of exception" as a point of departure and drawing from G. Agamben's and W. Hamacher's analyses,

I would like to present in my article the sense of this figure in the context of Hegelian speculation. Although "father's" tendency appears to be a tendency towards the fullness of identity and *pleroma*, yet, it hides in itself negativity which cannot be eradicated and which condemns it to unresolvable ambiguity; whereas this ambiguity must lead to the sublation of "metaphysically" understood "fatherhood" for the sake of love.

**Key words:** Agamben, Hamacher, father, sovereignty, the state of exception, dialectic, messianism